Czy małe jest wielkie – o poezji Floriana Śmieji

Promocja najnowszego tomu poezji Floriana Śmieji „Dotykanie świata” (2016) w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sądzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowieczowej, najbardziej tradycjonalny. Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand – narratives”? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo” – „małe” zamiast „wielkiego”, bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on – jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz (s.* 23) – wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą* i to on nakazuje sobie czujność, aby *„nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność.* W świecie wyborów:

> można w mroku dnia szarego
>
> pomnażąc cuda

> i trawić życie wśród bratnich zabiegów
>
> niegłośnym trudem
>
> (Florian Śmieja, Mały wybór wierszy, 3)

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami" wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary", o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziewania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ – KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem

jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi – najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa, Iwaniuk), a najmłodszymi – najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim", jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo" – kulturowe Universum – pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek – mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca" są ważne" i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych" i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca" (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost – bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca". W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca", ale zarazem uderza odmienność funkcji: dla Iwaniuka

jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo – Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbca romantycznych znaków „ojczyzny duchowej", próba samookreślenia się jako poety – depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety – autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo spełnienie misji, kontynuacja tradycji – bycia wieszczem swego narodu – jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata – potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety – romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy – taki jest status współczesnego poety – imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu", a sięgając do języka postmodernistycznego – coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach – jest moim zdaniem – wyrazem poetyckiego energicznego protestu i

goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia świętego dla poety „status quo” . Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią” .

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy”. Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz –Zielińską gdy pisze: ”W poezji Śmieji w stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ściszonym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA – DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok

decyzji mówienia „ściszonym głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy *człowieka faustowskiego* – człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieji przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę człowieka z „charakterem”:

> LUDZIE Z CHARAKTEREM
>
> Przez królewicza zhańbiona Lukrecja
>
> nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;
>
> ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym
>
> śmierć sobie zadał ambitny poeta.
>
> Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:
>
> słuchają głosów chociaż niebo puste
>
> smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.
>
> Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutytłani, wstydzić się nie muszą

żadnych lustracji się nie obawiają.

Jak w porównaniu wyglądają inni

co iść musieli na drobne układy;

nie mówiąc o tych, którzy nadal w maskach

co etykietkę za waszą I naszą

sprytnie na tu I teraz pomienili?

Wpierw towarzysze, potem .liberały

z socjalistycznych trybun w kapitalizm

wiatr historii zawsze im wieje w plecy

znów na świeczniki wystawia, bezczelne

gęby chichocą pośród dygnitarzy:

że za pan brat z prokuratorem żyją

> to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.
>
> Nie sądzę by im sen z oczu płoszyła
>
> ręka, co pisze po nocach na ścianie
>
> bezskutecznie: proszę państwa do gazu.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złoszczenia na ludzkie przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

> DWA MITY
>
> Pisaliśmy ją przez duże E
>
> i przyrównywali do Wielkiej
>
> bo przemożna była potrzeba
>
> naszego wzrostu chociażby

tylko we własnych oczach.

Krwią poiliśmy maki, tułali się

w opłotkach nieczułego świata

cali zajęci sprawą czujni

rycerze za naszą i waszą.

Z pietyzmem mówiliśmy Kraj

naród cierpiący, sama esencja

bezwinnego człowieka

kamienie na szaniec godności

całopalny baranek bez zdrady

solidarna bezinteresowność

chłopcy krakowiacy wyłącznie.

Aż tu się skończył komfort dychotomiii

> i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:
>
> stąd emigrantom do kraju nie pilno
>
> a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.
>
> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 16)

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag – Nowa wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak…), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategoryzujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości… że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizująch współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego

usztywnienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła – te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka – nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej tożsamości:

> SPÓŹNIONA ARKA
>
> Moja Kanada jest spóźnioną arką
>
> gdzie się rodzaje i gatunki chronią
>
> przed kataklizmem zagniewanych mocy,
>
> pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa
>
> pomieszanymi językami, tętni
>
> lojalistami wielu wzniosłych celów
>
> i kustoszami serdecznych pamiątek.
>
> Ona ochładza rozpalone serca

co tutaj uszły po wielu pożogach,

nakarmi głodnych, pragnących nasyci;

wyrozumiałym gestem wielkodusznych

często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów

mieszka naprzeciw dawnego oprawcy

donosiciela, rzecznika przemocy:

Jakby z substancji tak zgoła odmiennych

chciano wypalić nowego człowieka

żadną granicą nie obciążonego,

nie niewolnika plemiennej historii.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyraźniają najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

> ZIEMIE UTRACONE
>
> Ziemie utracone to posiadłości
>
> najbardziej niezbywalne; żadne one
>
> ewangeliczne marności, które mól
>
> stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.
>
> One się zawsze ozywają w ciszy
>
> nawet najbardziej strzeżonej samotni.
>
> Wystarczy na moment zamknąć powieki
>
> a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmełły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto

co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli

małe pudełko w sadzie pod jabłonką,

chude bociany kreślone niezdarnie

na podniesionym blacie długiej ławy,

u kulawego krawca szyte spodnie,

ostre miętówki z poczekalni dworca.

> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk...), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

> DRZEMKA
>
> Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa
>
> już przy tytule zamknęły się powieki.
>
> Gdy otworzyłem oczy
>
> było po wszystkim:
>
> zdążył odejść Demetriusz
>
> i wcale nie po królewsku
>
> z Macedończyków nawet śladu.
>
> Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy

> nie wolno zasypiać
>
> nie tylko gruszek w popiele.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia – „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

> KUSZENIE
>
> Ledwo uszedłem z Babilonu
>
> lecz nawet tutaj
>
> gwar słyszę wśród traw
>
> i pośród lilii polnych
>
> że Salomon
>
> nie był taki nagi
>
> jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze

niż młyńskim kamieniem

w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie

więc nie wiem dlaczego

tylu geniuszów chodzi incognito.

Nie ma mnie na schadzkach

rosnącego w oczach

klubu nieproduktywów.

Porażka moja będzie zawiniona

osobista, bez ciotki w gazecie.

Koniec niechlubny od rynku

> daleko. Nie słyszeli tu nawet
>
> o taryfie ulgowej a pisanie
>
> wierszy jest obciążeniem
>
> wstydliwym.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

> UCIECZKA
>
> Uszedłem poza zasięg złości
>
> w ustronne lasy.
>
> Zaszytego w gałęziach
>
> telefon nie znajdzie
>
> i nie przyniesie listu cierpkiego

dzięcioł.

Więc tylko myśl

której ujść nie podobna

więc jeno żal

że ręka do podania stworzona

w pięść się zaciska

a uśmiech

liściem spada uwiędłym.

I jak nie zazdrościć

topolom

że rosną prosto

ptakom

że zamiast złorzeczyć – śpiewają.

> Jak nie zazdrościć
>
> mimo że wiem
>
> że i we mnie
>
> drzemią trele skowronków
>
> i smukłość drzew.
>
> Mimo że wiem
>
> nie mam
>
> nie mam odwagi
>
> sięgnąć tak głęboko.
>
> (Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby

udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

> ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW
>
> Tak żyć, aby było jaśniej
>
> innym.
>
> Brać tyle
>
> by nie ubyło nikomu.
>
> Czekać, choć wiesz,
>
> że nikt do ciebie nie zapuka.
>
> Wierzyć w człowieka
>
> właśnie, bo zawodzi.
>
> (Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawiłości człowieka i kultury, aby

pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to, co dawno odkryte i dalej aktualne:

> STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA
>
> Biskup saksoński Wulfstan
>
> wołał na progu milenium:
>
> nie lękajcie się, głupi,
>
> siekier ani mieczy
>
> rogatych duńskich rozbójców;
>
> nie trwóżcie się,
>
> kiedy dzioby łodzi
>
> ryją się w wasze brzegi
>
> lejąc po siołach pożar.
>
> Pana się bójcie, rozwięźli,

> co pełne macie komory
>
> i skrzynie a ciało
>
> jedno i brzuch.
>
> Stamtąd pewniejsza zagłada,
>
> śmiertelniejsze zniszczenie.
>
> Powtarzam jego słowa
>
> sprzed lat tysiąca,
>
> nic zmieniać nie trzeba.
>
> Stałość kondycji człowieka
>
> oszczędza wiele zachodu.
>
> (Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycjonalizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji

ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentalny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycjonalna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją" nie dotknęła go. Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia" omijały tego szczęściarza:

> SZCZĘŚCIARZ
>
> Tylu umarło z byle powodu
>
> a on się uchował
>
> z nieznaczną blizną na szyi.
>
> Innym nie trzeba było wiele

gdy sam przez okno wypadł

z cegłami w zawody

tylko strachu się najadł.

Widział bomby lecące

prosto na niego

ale zginęli tamci.

Kiedy się zatrzasnęła

żelazna kurtyna.

został po dobrej stronie.

W asyście mglistej pamięci

może o sobie wspominać

bez niewygodnych świadków.

(Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątliły jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem – znalazł się tam jak w „domu” dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu” komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła – ojczyzny. Nie ukoiła go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej

dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda" pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka – sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmienność w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE"

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmienności wyposażeń „miejsca", odmienności aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu". W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmienność ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda" okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności

naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proweniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości, tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia – zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

> WYBORNI MISTRZOWIE
>
> Wyborni byli majstrowie
>
> schludnych śląskich osad
>
> miasteczek z kolorowych klocków. .
>
> Onegdaj znajomy proboszcz

> pokazywał zdjęcia
>
> frontony starych domów
>
> sacrum u szczytu oddzielne
>
> misternie wymodlone kielnią
>
> i rozumieniem rzeczy ostatecznych. .
>
> Błogosławieni, którzy stawiają
>
> kamień na kamieniu
>
> gromadzą budują mnożą. .
>
> Ich ciche imiona przetrwają
>
> Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.
>
> (Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwieść żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym

Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie „małego", ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzeć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura". Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego expressis verbis, jednak przebija się to przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów" jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu" poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszonym":

> aby nie pogubiła się
>
> choćby najskromniejsza rzecz
>
> za którą potrzebujący kupi
>
> chleba, schronienie, spokój.
>
> Bo ona mnie obroni.
>
> (Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu… Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac – celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne”, ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się plącze po podłodze”.

A jednak Śmieja – Ślązak – Polak – Kanadyjczyk uparł się, aby szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka – w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym" – w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe" , ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne – realne, namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka" jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

Dzięki temu programowi – jak sądzę – trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj" i „tam" były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisania wierszy.

Czy program Śmieji to mało? – mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga?

Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja

Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

> Między nocą a dniem,
>
> Między trwogą a nadzieją.
>
> Snuję, plotę swoje życie.
>
> I wyszywam biało-czarną nitką
>
> Linie kręte,splątane,

> Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

> I pochylają głowy
>
> Niedokończonych słów
>
> Jakby im zaciążył ten ból.
>
> Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy
>
> Jestem sama
>
> Bardzo sama
>
> Bez uniesień.
>
> Boję sie umierać na raty,
>
> Duchów w nocy,
>
> Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

> Mam w sobie cały zapas
>
> Niezużytych uczuć.
>
> I uśmiecham się do kwiatow
>
> I do ptaków.
>
> Potem siadam przy oknie
>
> I czekam.
>
> Może nawet nie czekam
>
> Tylko trwam.
>
> Trwa we mnie czekanie
>
> Na jedno dobre słowo
>
> Które można zatrzymać

> Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził sie lęk:

> Boję się samego siebie,
>
> Tej ręki, co mnie pcha
>
> W wielką niewiadomą
>
> W noc.
>
> Odsłonię wszystkie okna
>
> Otworzę wszystkie drzwi,
>
> Może uda mi się uciec.
>
> Już się ogień zapalił.
>
> Los zagląda przerz szyby,
>
> I zimnymi palcami puka.
>
> Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpaczy. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

> A potem się oderwę
>
> I wolno będę spadać
>
> Bez żalu i bez lęku
>
> W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka puścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie “Między brzegami” przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze…”, ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.

Toronto, fot. Jacek Gwizdka.

Florian Śmieja. Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.

Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieji „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji miała miejsce w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela

chodząc ulicą nie budzę sensacji

na fluktuacje światowego rynku

nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam

nieużywane pokłady czułości

czekam na właściwy telefon, na list

wyglądany od dawna, przyjaciela.

Taki to sporządziłem minibiogram

gdyby gdzieś miano wydać autentyczny

informator *Kto jest kim między ludźmi.*

***

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmi: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufnego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

***

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy

Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,

bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści

nie przepadnie tęsknota, żal się nie odmieni.

W sobie przecież niesiemy płomień najważnjejszy,

którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,

żegnania w południe czy rozłąka północą.

***

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt

nie zawsze się załamuje

często pogruchotane stoi dalej

odarte z kory, pozbawione korony

trwa na miejscu uparcie

korzenie nie puszczają ziemi

pień zanim się w proch rozkruszy

by urzyźnić glebę

nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

***

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni sa stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.

Leszek Wyczółkowski, Golden Moments, grafika.

***

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale

próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał

deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne

śledziły go oczy, bo osób

dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,

że można znaleźć człowieka.

***

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny

komfort dystansu, który izolował

a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów

ani nikczemnych ciosów niżej pasa.

Mógł się zajmować szerszą perspektywą

ogólną panoramą, widokami z góry.

Technologia nam zniosła przestrzeń

i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite

ruszenie od zadymy? Emisariusze

wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk

wieźć swoją bibułę. Za późno

coś robić na pochwałe grodu,

sprywatyzowany ma różnych kasztelanów

którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

***

MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,

który wiatr rozwieje, to co są warte

konfabulacje otwartego człowieka

chcącego pojąć zawiłości świata

a mężnie zachować się wobec bytu?

Czy na darmo trudzi się kontemplacją

I w samotności przpędza swój żywot?

Marność nad marnościami ostrzegało

Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.

Pozostawiając nam wszystkim nadzieję

mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu

wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

***

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez

mierzenia sił na zamiary. To raczej

zrządzenie losu, co bosego malca

ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł

w labirynty niespodziewane, potem

bezpiecznie przez zawieruchy prowadził

po złudne laury i honory świata,

o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto-Rzeszów 2016 r.

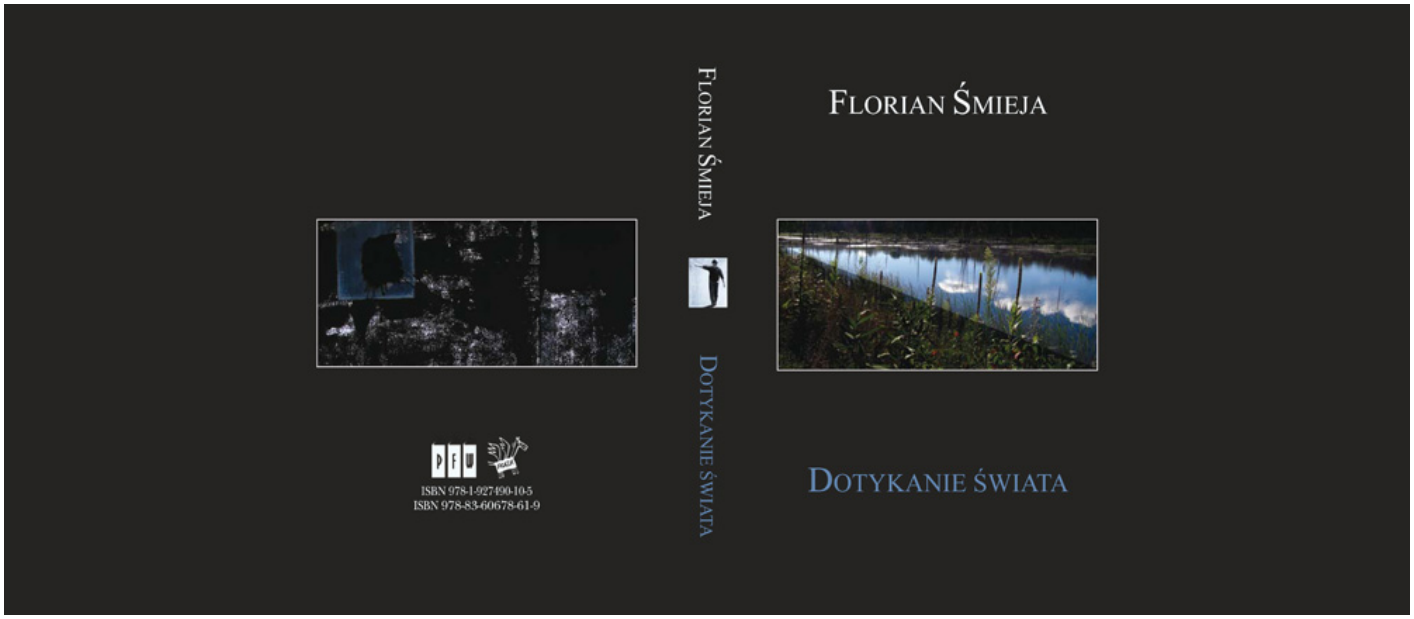

Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja

Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św.

Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojaczek zmarł tragicznie ll maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

> Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojaczek napisze:

> …Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadzi się smętne kwiatki na schludnej grządce…

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojaczek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie persony: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panieńskim matki, Wojaczek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojaczek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy…” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał

utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcję, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

> O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwerężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych

wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że żebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy

> zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

> Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

> Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczą sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebną manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[…] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego,

> kamieniami tłukąc szyby w oknach…więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu….

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojaczek się spowiada:

> …Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy – 10 września (1964) – wziąłem żyletkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym… Buduję więc na nowo gmach złudzeń – ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

> To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojaczek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

> Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną
>
> I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu
>
> Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną
>
> Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią
>
> Studentkę filologii albo medycyny
>
> Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą –

> Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie’
>
> Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!

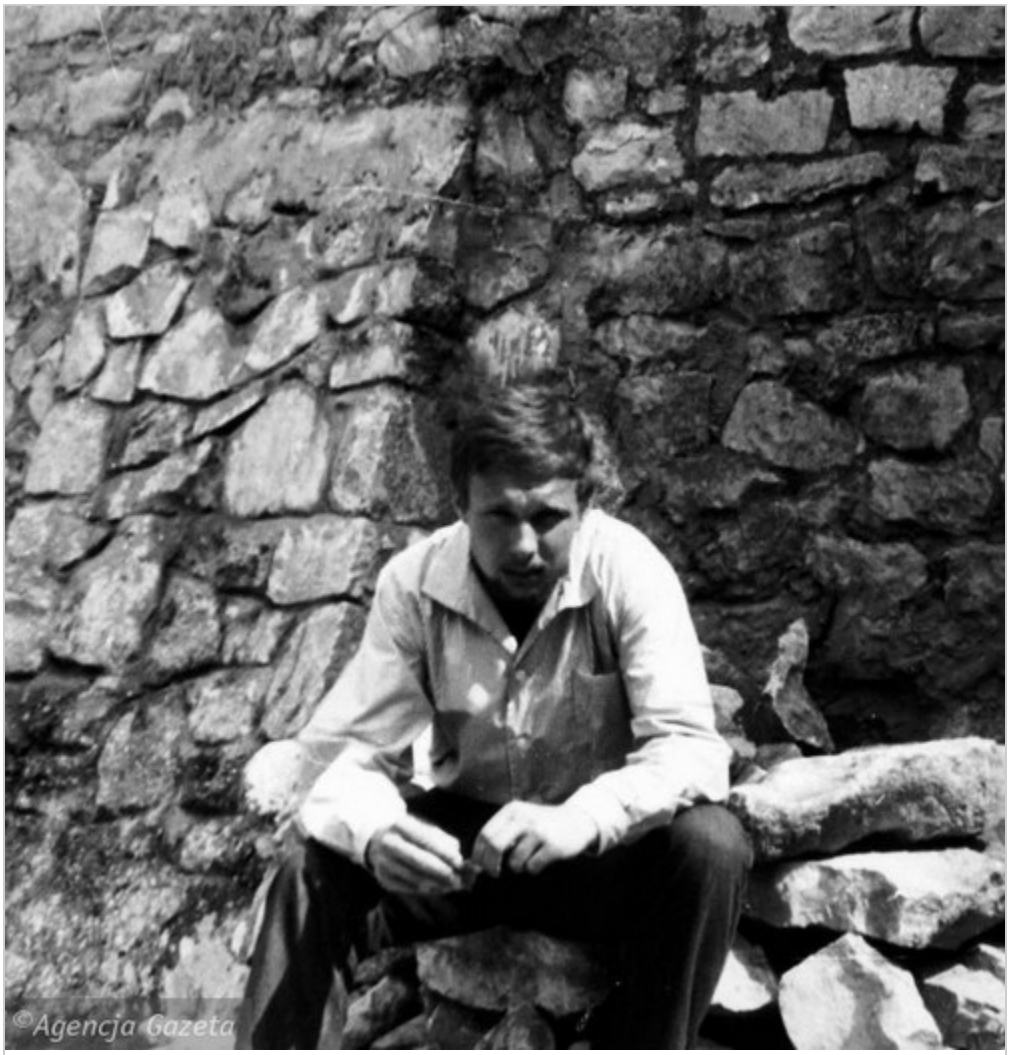

Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów

zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

> Rok łagodnego światła
>
> Wzrok zdolny cieszyć się
>
> Słuch cierpliwy i chłonny
>
> Głos jedynego Boga
>
> Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

> Śmiech niehisteryczny
>
> Smak subtelny
>
> …
>
> Mróz nieuciążliwy
>
> Piec ciepły
>
> Łyk dobrej wódki
>
> Woń róży
>
> …
>
> Cel wytyczony
>
> śmierć pobożna
>
> Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześnie wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u

niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatratę tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłyski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie,

splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

> Zjechałem tu nie w porę
>
> sezon jeszcze nie otwarty
>
> a już miejscowi mówią
>
> że tu się nic nie stanie.

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

> Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
>
> Wieź ponad dobrem złem i społeczeństwem

> Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?
>
> Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych"; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną". Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością". Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i

Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająca dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sądzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

> Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej histerii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje

ręce:

> Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłęd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statuą komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania,

ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otruł się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

> Młodości próżniaczej
>
> w jarzmo nikt nie chwycił,
>
> przez łatwość wybaczeń
>
> zmarnowałem życie.

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

„Dotykanie świata”

Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne

rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.

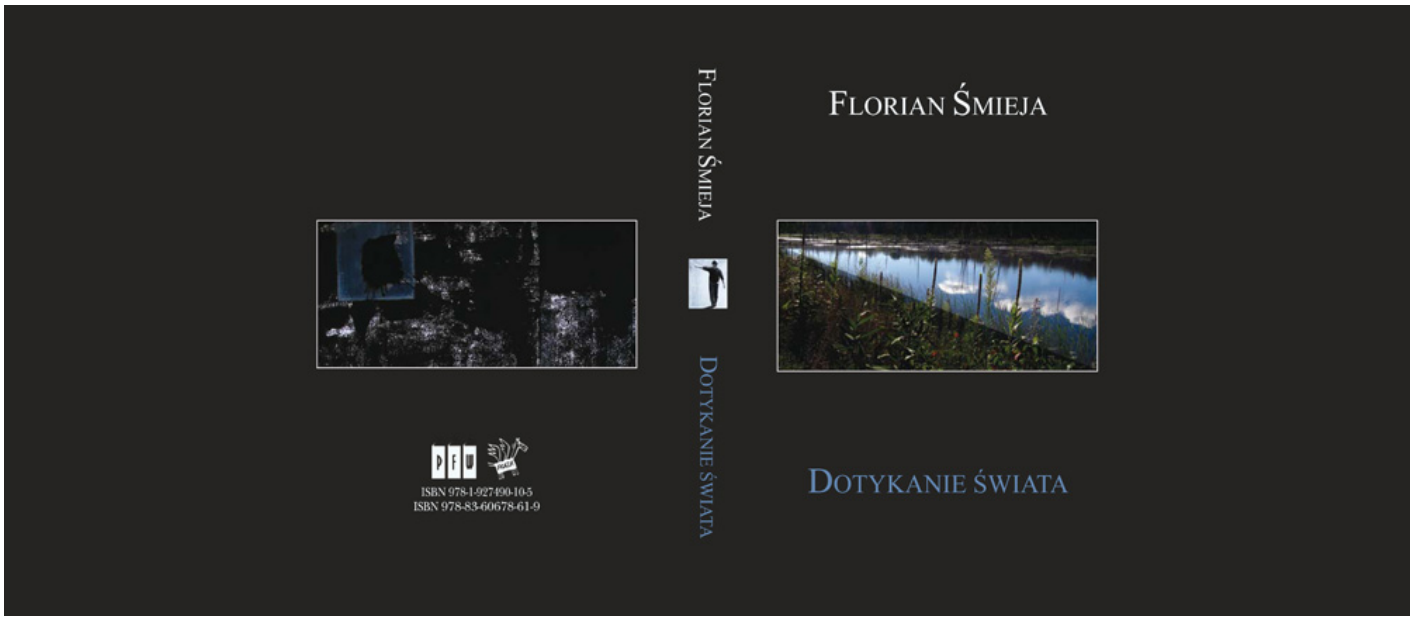

JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakiem dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów", bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dziecinnych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata". Tamże wzywam:

> pielęgnujmy pamięć
>
> skoro nic poza nią nie istnieje.
>
> Bo w chwili próby nie możemy być sami
>
> świat zapamiętany będzie cumą
>
> zbawienną, zapisem wypełnionego…

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najsłuszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać,

wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć*. I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata” swojej żonie. Czy

żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.

Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu w lipcu 2016 r.

Don Juan znad Jeziora Chapala

Jezioro Chapala.

Florian Śmieja

Już sam kawaleryjski start z torontońskiego lotniska świadczył o zuchach przy sterze meksykańskiego samolotu. Jak tylko oderwaliśmy się od ziemi, zadarli oni płaty, by upewnić pasażerów, że trzymają się jeszcze kadłuba, i poszybowaliśmy wzdłuż jeziora Erie, by wkrótce wylądować w Chicago. Tam dosiedli się nowi podróżni, miejsce obok mnie zajął, jak się miało okazać, wysoki oficer meksykańskiej policji. Wdałem się z nim w rozmowę. W rezultacie, po wylądowaniu na lotnisku w Mexico City, polecił mi moją torbę wrzucić na swoje bagaże i bocznymi drzwiami bez jakiejkolwiek kontroli wyszliśmy wśród salutujących mojemu towarzyszowi funkcjonariuszy celnych na ulicę.

Następnego dnia policjant strzegący mojego hoteliku nabrał do mnie szczególnego respektu, kiedy zauważył, że przyjechał po mnie samochód policyjny z urzędowym kogutem na dachu. To dzięki kaprysowi dygnitarza pojawił się jego szofer, by mnie zawieźć do nie znanej mi tolteckiej miejscowości Tula.

Celem mojego wojażu do Meksyku było odwiedzenie i poznanie rodaka, który kilka lat wcześniej odezwał się i napisał list do polonijnego pisma kanadyjskiego, z którym podówczas współpracowałem. Dziwił się on, że odwiedziwszy Meksyk nie opisałem swoich wrażeń i przygód. Wystosował zaproszenie:

> …Na raz następny proszę podczas podróży do mnie wstąpić i ma Pan do dyspozycji łódkę, mostek i ryby w wodzie jeziora Chapala. Oprócz tego klimacik cały rok okrągły i jak w raju, a nie na ziemi.

Ponieważ minęło kilka lat zanim mogłem puścić się w drogę, powiadomiłem o tym listownie zapraszającego. Dokładnie objaśnił mi jak do niego trafić. Szosą z Mexico było 585 km więc wybrałem nocny autobus do Guadalajara, by stamtąd innym autobusem zrobić 125 km w odmiennym kierunku. Jechałem do 73 letniego emeryta, jak donosił, „chłopaka ze wsi podkarpackiej, poszczerbionego kulami partyzanta ze zgrupowania Jędrusiów, dziękującego Opatrzności za każdy ukradziony dzień życia".

W liście do mnie mitygował szczerze swoje wcześniejsze obietnice i studził nieco moje zapały. Na pytanie, czy ryby w jeziorze biorą, odpowiedział prosto: "Te, co brały, dawno z wody wyciągnięte i zjedzone, a młode nie rosną, bo jezioro co roku to dalej od brzegu".

I tak po długiej podróży autobusem i przesiadce w Guadalajara znalazłem się na miejscu. W jednej z trzech pięknych willi, zbudowanych między szosą a jeziorem, w białym budynku z czarnym dachem, zastałem wysokiego, szczupłego, siwiejącego

mężczyznę w białym sombrero, o oczach chabrowych, człowieka jowialnego i bezpośredniego. Jego przybrana kilkunastoletnia córka wraz ze służącą próbowały akurat długim bambusem strącać owoce *pitaya* z kandelabrowego kaktusa stojącego przed domem.

Ponieważ na imię było mu Jan, stał się lokalnie znany jako Don Juan, a ponieważ był biały, to gringo. A znalazł się w Meksyku przypadkiem. Kiedy armia czerwona przewaliła się przez Polskę, antyniemiecka partyzantka nieraz zmuszona była walczyć z nowym okupantem i współpracującymi z nim organami PRLu. Z czasem jednak opór stał się nie tylko ogromnie niebezpieczny, ale wręcz beznadziejny. Pod węglem partyzant Jan przedostał się szczęśliwie do Szwecji. Były to czasy zimnej wojny i potrzebni byli ochotnicy do dywersji. Zaczęli ich szkolić Amerykanie w Europie. Kiedy jednak nastąpiła odwilż polityczna i koła historii potoczyły się w innym kierunku, ochotnicy stali się już zbędni. Jan otrzymał prawo osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych. Bez języka i bez fachu w ręku, do tego ciężko schorowany, znalazł się w nowym kraju bez perspektyw, a lekarz dał mu sześć miesięcy życia.

W tej sytuacji wraz ze znajomym Niemcem, również nie mającym nic do stracenia, starym samochodem wybrał się do Meksyku. Przejechali cały kraj w poszukiwaniu sprzyjającego klimatu. Znaleźli go nad jeziorem Chapala w stanie Jalisco niedalego

miasta Guadalajara na wysokości 1500 m nad poziomem morza. Jan postanowił się tam osiedlić.

Opodal miasteczka Tizapán el Alto między drogą do Guadalajary a jeziorem leżały skrawki nieużytków, głównie kamienie. Należały do lokalnego bogacza. Ten, kiedy doniesiono mu, że jakiś gringo interesuje się jego *piedras*, kamiennym terenem, nie chciał nawet słyszeć o sprzedaży. Gdy petent ponawiał chęć kupna, właściciel, by się go pozbyć, wymienił niewiarygodną sumę miliona pezów.

Jakież było jego zdumienie, kiedy gringo ofertę przyjął. Za nikomu niepotrzebne „kamienie" zdumiony sprzedawca otrzymał wielkie pieniądze. Ale Jan też nie był w ciemię bity i swe kalkulacje miał. Kurs dolara był wtedy wysoki, znalazła się rodzina, która pomogła. Ziemię podzielił na trzy działki i dwie sprzedał po korzystnej cenie. Na trzeciej postawił wygodny budynek dla siebie. Z Don Juanem zaczęto się w okolicy liczyć.

Meksyk

Położenie domu nad jeziorem umożliwiło założenie irygowanego ogrodu. Kiedy pociągnięcie normalnej linni elektrycznej nastręczyło trudności, przemyślny Don Juan nocą zawieszał druty na biegnące wzdłuż szosy przewody elektryczne, uruchamiał pompę, a przed świtem zdejmował druty i troskliwie zwinąwszy chował daleko od domu. I wody z jeziora miał pod dostatkiem.

Był też pierwszym na miejscu posiadaczem sprzętu do

wykrywania metali. rozchwytywanym przez amatorów szukających zakopanych pieniędzy i kosztowności z czasów rewolucji. Szperał też na własną rękę i z powodzeniem. Z czasem jednak stał się ostrożniejszy. Zgodziwszy się kiedyś pojechać w góry szukać z innymi skarbu przeżył niemiłą przygodę. Kiedy już ustalił miejsce i odkopał pierwsze monety, jeden z uczestników wyprawy wydobył rewolwer i kazał mu zmykać. Były partyzant był sam bez broni, więc ze słowami *seniores* roztropnie się wycofał.

Broń po prawdzie miał i ponoć był to jego stary pistolet jeszcze z partyzantki, ale w Meksyku Don Juan wolał zachowywać wielką ostrożność. Nieraz policja ofiarowywała mu broń, ale on był przekonany, że zaraz po transakcji przyjdą po nią, skonfiskują a jego zaaresztują… Wolał nie ryzykować. Wymawiał się, że jest człowiekiem spokojnym, który broni nie potrzebuje. Nawet inspirowane kradzieże i włamania nie postkutkowały. Trzymał się z dala i koniec.

Tizapán, Meksyk.

W czasie jednego z moich pobytów w Tizapán na ulicach zaczęła się strzelanina: policja uzbrojona w karabiny ścigała kogoś czy po prostu chciała społeczność zastraszyć, bo zbliżały się lokalne

wybory. A z wyborami to w Meksyku jest zawsze cyrk.

Rządząca od czasów rewolucji Zinstytucjonalizowana Partia Rewolucyjna (Partido Revolucionario Institucional) nic sobie nie robiła z rezultatów wyborów tam, gdzie ich wygrać nie potrafiła. Po prostu nie oddawała władzy i siłą uśmierzała protesty przeciwników. Opozycja na próżno mobilizowała wyborców, kiedy zazwyczaj po przegraniu wyborów partia rządząca nie odchodziła, nie przekazywała kluczy, a wojsko i policja robiły porządek. Zdarzało się prawem wyjątku, że tu i ówdzie zdesperowane kobiety miotłami przepędzały zasiedziałych marksistów. Ale takie wypadki należały do drobnych ustępstw i atrakcji dla społeczeństwa trapionego nędzą i korupcją rządzącej monopartii oraz ogólnym chaosem.

Carmen, przybrana córka Don Juana była Indianką ze szczepu Tarasca. Nazywała go pieszczotliwie *papi*, co nie wystarczało, by ją przestał poganiać często do sprzątania i innej domowej roboty. Była to jednak szorstkość udawana, bo w rzeczywistości strzegł jej jak oczka w głowie i cały majątek jej zapisał. U niego oglądałem wśród innych precjozów dużą kamienną głowę o czterech twarzach, meksykańskiego światowida, znalezioną na cmentarzysku oraz mixteckie żarna z wulkanicznego kamienia cudnie wyrobione z lewym gwintem, rytualne naczynie, ostrza strzał i włóczni, ofiarny nóż z czarnego obsydianu. Byłem z nim, kiedy nabył statuę bożka, który mu się z miejsca spodobał. Z

przymrużeniem oka napomknął, że nie zdziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że we wnętrzu znajdzie szlachetne kamienie lub złoto.

Meksyk, agawa.

Nasz partyzant osiedliwszy się w Meksyku wkrótce dał się poznać jako spolegliwy doradca i hojny mecenas. Najchętniej wspierał zakonnice opiekujące się sierocińcami. Kiedy raz zagadnięty, dlaczego sam nie zaadoptuje sobie dziecka, zgodził się i poprosił o niemowlę płci żeńskiej. Takie się wnet znalazło a on zatrudniwszy dwie służące przyjął je do swojego domu.

Powstał problem nazwiska dla dziewczyki. Don Juan bez wahania

użyczył swojego, ale potrzebne jeszcze było nazwisko matki. Całą swoją swadą udało mu się przekonać młodą zakonnicę, by dla Boga i dla sieroty użyczyła swojego nazwiska. W ten sposób Carmen w papierach ma ojca i matkę. Nie było też większego zmartwienia z chrztem. Ksiądz proboszcz nie bardzo palił się do urządzenia uroczystości dla takiej znajdy. Don Juan poważnie przytakiwał głową jego wątpliwościom i zastrzeżeniom, ale równocześnie wydobył kilka banknotów i położyl je na stole ze słowami: *Ale cóż to bezgrzeszne dzieciątko temu winne, że w takiej sytuacji przyszło na świat?* Ksiądz widząc pieniądze łacniej zgodził się z jego sentymentem i odbył się huczny chrzest.

Don Juan nadal nie zapominał o sierocińcach w Morelia, Zamora i Ciudad Granja. Powiadał, że miał dużo szczęścia w partyzantce, przeżył pościgi i bez szwanku wyszedł z zasadzek, że udało mu się podreperować zdrowie w Meksyku, że prowokował na nowo swoją fortunę i wygrał, bo zakonnice i sieroty modliły się w jego intencji. Wilie chętnie spędzał w sierocińcu w Zamora, skąd pochodziła jego przybrana córka. Oboje pojawiali się w nim z koszem owoców i ogromnym ciastem, które Carmen kroiła i rozdawała swoim mniej fortunnym zakładowym siostrom i braciom.

Osiadłszy pod Gadalajarą Don Juan najpierw poszukał indiańskiego znachora. Przeżywszy w partyzantce w Polsce operację płuc w majątku Niziny nad Wisłą przywiązany do drzwi

przez lekarzy współpracujących z podziemiem, a ta operacja kosztowała go pół płuca i kilka żeber, wytrzymał również zabiegi i rytuał czarownika, a nawet z czasem nauczył się od niego ziołolecznictwa, założył ogródek z ziołami i sam zaczął leczyć innych.

Szybko wykaraskał się z gnębiącego go ustawicznie wysokiego ciśnienia. Wybrał sobie dietę i sumiennie ją stosował. Pamiętam jak nawet pomidory najpierw gotował, a potem obierał ze skórki przed spożyciem. Przyrządzał jedzenie po partyzancku i po starokawalersku, ale przede wszystkim rozsądnie i zdrowotnie wedle dobrego rozeznania.

Rano po wypiciu o siódmej godzinie filiżanki swojskiej herbaty ziołowej jechaliśmy do miasteczka Tizapán położonego jakieś dwanaście kilometrów na wschód również nad jeziorem Chapala. Tuż przed miejscowością był posterunek wojskowy: na szosie trzeba było zwolnić, by przejechać przez przeszkody specjalnie wmurowane w poprzek jezdni, dla zatrzymania ruchu. W przydrożnych bunkrach żołnierze w hełmach i z bronią w ręku pilnowali porządku. Dawniej rewidowali każdy pojazd, ostatnio, po zastrzeleniu dwu młodych ludzi, którzy chcieli brawurowo sforsować przeszkodę, już tylko obserwowali.

W Tizapán, znaczącym „ziemia chlebowa”, chodziliśmy codziennie na targ, na którym kupowaliśmy świetne i chrupkie

bułki, trochę mięsa, jajka, a przede wszystkim pomidory, pomarańcze, banany, melony i papaje.

Automat wyrabiający placki kukurydziane, tortillas, obsługiwały dwie dziarskie Metyski. Uśmiechając się przyjaźnie polecały mi swoje placki. Odpowiedziałem, że nie mam z sobą pieniędzy. To dostanę na próbę za darmo. Tłoczone z pojemnika ciasta na ruchomą taśmę z dużą szybkością przechodziły nad gazowymi palnikami i już upieczone układały się na stosie. W te placki zawija się różne przyprawy, mięsa i sałaty, by powstała jedna z ulubionych meksykańskich potraw.

Teresa Garcia, jedna ze sprzedawczyń, wręczyła mi z taśmy trzy placki, a ja jej dałem na pamiątkę kanadyjskiego centa. Zapytała o moje imię, chciała wiedzieć, co porabiam, gdzie bywam. Szczuplutka, żywa i rezolutna westchnęła „Piękna musi być Kanada” i zaraz dodała: „i Polska”. Kto wie też, jakie sobie snuła marzenia i jakiej melancholii nabawił się ten sympatyczny podlotek.

Meksyk.

Ciężkie warunki życia skłaniają wiele kobiet w Meksyku do wiązania się z osiedlającymi się w tych stronach cudzoziemcami, najczęściej Amerykanami i emerytami, oferując im najtroskliwszą opiekę i czułość za dach nad głową i ludzkie traktowanie.

Odwiedzałem tę przyjazną polską oazę kilkakrotnie. Z domu Don Juana mogłem jeździć po okolicznych stanach. Interesowały mnie szczególnie górskie krainy, które w latach dwudziestych i trzydziestych były teatrem zażartych i krwawych walk między lokalnymi chłopami tzw. *cristeros* a wojskiem rządowym. Wyszukiwałem dawne gniazda powstańców i rozmawiałem z byłymi kombatantami będącymi w bardzo już podeszłym wieku.

Zjeździłem w ten sposób autobusami stany Michoacán, Jalisco i Colimę.

Meksykanie jeżdżą głównie autobusami. Dworce autobusowe niektórych miast są malowniczą i ważną instytucją społeczną. W większych miastach są osobne dworce pierwszej i drugiej klasy. Często różne linie oferują kursy do tych samych miejscowości, wtedy obsługa autobusu bardzo agresywnie kaptuje sobie klientelę. Wygodne i bezpieczne są klimatyzowane pojazdy pierwszej klasy używane głównie przez zamożniejszych Meksykańczyków oraz turystów. Ogół jednak i młodzi turyści jeżdżą tanimi, odrapanymi i brudnymi autobusami bez chłodzenia, zatłoczonymi i hałaśliwymi. Ścigają się one niebezpiecznie z równie mało sprawnymi ciężarówkami i jak sfatygowane bombowce wracające z trudem do bazy zajeżdżają na dworce, gdzie czeredy chłopców opadają je z mrożonkami, lodami, sokami, owocami i ciastkami.

Patrzałem na tę aprowizację z zazdrością. Napiłbym się nieraz chętnie soku czy zjadłbym lody, bo upały duże i brak przeciągu w zatłoczonych autobusach, ale bałem się wody. Nie miałem odporności tubylców, którzy pili do woli i pałaszowali zakurzone placki. Ostrożność była wskazana i roztropna.

Choć licho płatni i pracujący w fatalnych warunkach kierowcy wydali mi się znakomici. Nieraz zresztą musieli oni przemieniać

się w mechaników. Autobusy psuły się nagminnie, a wysławszy pasażerów na małą przechadzkę, obsługa brała się do naprawy i najczęściej wychodziła z problemu zwycięsko, wołała pasażerów i niejednokrotnie dojeżdżała do celu na czas wedle przysłowiowego „Lepiej trupem, ale na czas”.

Jeździłem tymi autobusami namiętnie. Pędziła mnie jakaś niespokojna energia, czułem radość, że znajdowałem się w dzikim krajobrazie, że byłem sam. Miałem czas, czekanie nie było przykre, nie wadziłem nikomu. Nauczyłem się cierpliwości. Potrafiłem godzinami siedzieć na kamieniu i czuć się częścią krajobrazu.

Nauczycielami nieraz byli Indianie i Metysi. Ich sposób bycia potrafił zaimponować. Czasem zaskakiwały mnie ich słowa. Kiedy raz w cieniu drzew czekałem na skrzyżowaniu dróg na autobus z Guadalajary, dołączyl do mnie starszy Indianin. Po wymianie pozdrowień poskarżyłem się, że czekałem już parę godzin, na co on odpowiedział z flegmą: „No to, señor, będziesz już czekał krócej”.

Meksyk, sztuka prekolumbijska.

Meksyk to kraj rozległy i ludny, górzysty bardzo i obfitujący w wulkany, położony między dwoma oceanami, każdy jego stan (a Meksyk ma ich 27) zaskakuje czymś odrębnym i fascynującym. Z zapylonej pustyni wyjeżdża się na urodzajną równinę, na płodne czerwone ziemie pełne zboża, kukurydzy i warzyw. Ale obok nowoczesnych traktorów i maszyn rolniczych widzi się nadal tabuny koników i osiołków słaniających się pod ciężarem ładunków, często długich żerdzi czy desek przytroczonych do siodła i włóczonych po ziemi. Fauna Meksyku jest bogata: w powietrzu ustawicznie kołują sępy. Czarne kolibry uwijały się przy kwiatach kolczastych krzewów, ludzie kamieniami strącali cierpkie owoce, by je żuć. Dużo żółtych, czarnych i nakrapianych

motyli, egzotyczne dla nas iguany, a przez dzień cały słychać gwizd i szum owadów oraz rechot żab. Ropuchy wydają odgłosy, które łatwo brać za szczekanie psów.

Wybrane miejsce i tryb życia wybitnie Don Juanowi służyły, choć pędził życie w dużej mierze samotnicze i tylko wyjątkowo zaglądali do niego ludzie z północy. Raz na przykład zawitał dyplomata, podróżnik i pisarz Jerzy Giżycki w drodze do Indian w Oaxaca, wśród których pozostał do śmierci. Kiedy Don Juan przekroczył osiemdziesiątkę nadal cieszył się znakomitym zdrowiem śmiejąc się, że o istnieniu w jego ciele dwu niemieckich kul wie tylko Herr Rhoentgen. Te kule złapał, kiedy osłaniał angielski desant w Polsce i dzień cały w szuwarach przeleżał, zanim ściągnięto go do majątku na operację. Opisywał, jak się jeszcze ścigał na rowerze z urwisami. Zjadał lekkie śniadania, szedł do ogrodu i pasieki, a także do dawnego domu, bo nowa właścicielka owdowiała i potrzebowała pomocy, więc się tym domem opiekował. Pamiętam, jak siadywaliśmy tam razem wieczorami spogladając na piękną posiadłość, która mu dała nie tylko przystań i zabezpieczenie starości, ale przede wszystkim przywróciła sens życiu i podreperowała zdrowie. Świetne powietrze i ładny widok na jezioro uleczyły duszę. A było na co patrzeć: nad kwieciem buganwilii uwijały się duże motyle żółte i czarne, cynobrowe i bure, kolibry przeglądały roślinę zwaną *agua vera*. Z własnych agaw spijaliśmy mleko, *mezcal*, od którego zdaniem lokalnych Indian rosną płuca. Tym mlekiem

nieraz muszą się zadowolić dzieci indiańskie. Na chudym drzewie dojrzewały papaje, żabki i świerszcze grały bez końca, z suchym trzaskaniem chybotały się pióropusze palm, raz po raz osuwały się ciężkie liście drzew zrzucających swoje sezonowe okrycie. Nad brzegiem żeglowały czaple i żórawie, z wody ozywały się kaczki i kurki. Don Juan żył spokojnie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem i kto patrzył na wyciszonego mężczyznę polewającego swój ogród, nie podejrzewał pod sielskim obrazkiem dramatycznej i niebezpiecznej przeszłości. Lekarza nie znał, miał swoje ziółka we własnym ogródku nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Napisał, że po ziółka przychodziły też młode dziewczyny, aby spędzić płód, bo bały się, że je ojcowie zabiją, jak się dowiedzą o ciąży.

Meksyk.

Niektorym młodym kobietom proponował inne rozwiązanie. Zamiast ziółek zalecał tym, które były w ciąży nie dłużej niż dwa miesiące, wyjazd do Stanów Zjednoczonych, względnie Kanady, i oddanie dziecka za zapłatą ludziom, którzy na dziecko czekali. Wysłał już w ten sposób jedenaście dziewcząt. Tłumaczyl mi:

> Taka samotna para bez dzieci daje w liście zaproszenie dla dziewczyny na odwiedziny razem z gwarancją utrzymania. Dziewczyna po przyjeździe do USA czy Kanady pracuje u

> krewnych przyszłej mamy, aby nie wiedziała, gdzie jej dziecko będzie adoptowane. W klinice rejestruje się na imię przyszłej mamy i rodzi. Po wyjściu z kliniki oddaje dziecko i otrzymuje zapłatę i bilet do Guadalajara. Jak dotąd to się zadowalają trzema tysiącami dolarów. Powraca ‘całka’ jak wyjechała i ani *novio se da cuenta* (narzeczony się nie zorientuje), co się z Lupitą stało. A rodzice jacy zadowoleni, że postarałem się o dobrą pracę, bo za siedem albo osiem miesięcy dziecko zarobiło kupę dolarów.

Sprzedawszy swoją willę nad jeziorem Don Juan wprawdzie kupił dom w Tizapán, ale niekiedy snuł plany, by przenieść się do Europy, albo do Kanady, gdzie miał braci. Lecz kiedy go obserwowałem, jak chodził na targu wśród przekupek i jak rozprawiał na skwerze miasteczka, jak radził przybywającym do niego ludziom i tęsknie spozierał na jezioro Chapala, rozumiałem, że w istocie ukochał on niepewny, ale męski tryb życia meksykańskiego i że właśnie tam partyzant spod Mielca znalazł swoje piękne przeznaczenie.

Mityczny Don Juan był postrachem kobiet i ich pogromcą. Jego imiennicy cieszą się opinią uwodzicieli i wyzyskiwaczy. Nasz Jan natomiast był ich obrońcą i dobroczyńcą. Jego dobra fama nie prędko ucichnie w gorącej ziemi Jalisco.

Powrót Hemara

Marian Hemar, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Gdyby pokusić się o napisanie historii życia kulturalnego polskiego Londynu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, jedną z pierwszorzędnych postaci byłby niewątpliwie Marian Hemar. Dziś jest on sylwetką

z przeszłości, historią, artystą znanym ze słyszenia wśród najstarszych emigrantów.

Pamiętam go z przedstawień w klubie “Orzeł Biały” na londyńskim Knightsbridge. Kiedy pożar zniszczył ten klub, Hemar kontynuował występy na South Kensington w “Ognisku Polskim”. W połączonych salonach stylowej kamienicy na pierwszym piętrze odbywały się teatralne spektakle, literackie spotkania i akademie.

W 1946 roku, jeszcze w mundurze starszego strzelca broni pancernej, pojechałem z obozu w Szkocji na urlop do Londynu. W kinach grano film “The Outlaw” z atrakcyjną Jane Russell. Zobaczywszy głośny western, zwiedziłem British Museum, zobaczyłem kolekcję marmurów i mumii, zajrzałem po raz pierwszy do czytelni biblioteki pod szklaną kopułą. Tam poznałem dr Jerzego Pietrkiewicza, który zaprosił mnie na kawę i przeczytał kilka przekładów poetów angielskich, których antologię przygotowywał.

Wieczorem przedstawiono mnie Marianowi Hemarowi. Ku mojemu zdumieniu, znał i cenił on Wergiliusza, a nawet trzymał na nocnym stoliku jego “Bucolicon”, a ja także w onym czasie tłumaczyłem sielanki Rzymianina.

Kiedy po ukończonych w Irlandii studiach znalazłem się

ponownie w Londynie, miałem wiele okazji, by oglądać programy Hemara w “Orle Białym” a później w “Ognisku Polskim”. Nie doceniałem wówczas właściwie wielkiego wysiłku ludzi teatru, a wśród nich Hemara, którzy w ciężkich czasach krzepili rodaków w ogólnym przygnębieniu i poczuciu klęski. Ich akcje wymagały wielkiego hartu ducha i samozaparcia.

Z czasem musiałem Londyn opuścić i przeniosłem się do Nottingham, tam wykładałem literaturę hiszpańską. Następnie popłynąłem do Kanady, gdzie miałem osiąść na stałe. W roku 1991 przeszedłszy na emeryturę, zacząłem latać do Polski. Do dziś tych pedagogicznych wizyt było 16. Starałem się na uniwersytetach polskich pomagać w kształceniu iberystów.

We Wrocławiu pracowałem przez sześć lat w semestrach letnich. Trafiłem do miasta przypadkiem, kiedy po zjeździe pisarzy w Warszawie wybrałem się tam z Tadeuszem Nowakowskim z Wolnej Europy. Mój towarzysz słynął z dowcipu i złośliwych komentarzy. I tak, kiedy jego kolega w pracy, Wiktor Trościanko, wydał tomik wierszy pod tytułem „Przeciwko wiatrom”, ponoć Nowakowski dopisał na ogłoszeniu w Monachium „Do nabycia w każdej aptece”.

W czasie moich zajęć w Instytucie Filologii Romańskiej we Wrocławiu miałem okazje chodzić na doroczne przeglądy piosenki aktorskiej. Poznański Teatr Nowy przywiózł pewnego

razu adaptację komedii Mariana Hemara „Piękna Lucynda”. Sztuki tej w Londynie nie oglądałem. Byłem kompletnie urzeczony jej znakomitością. Do sufitu szybowały na trapezach Muzy, pięknie śpiewali i grali aktorzy. Klasą samą dla siebie była Krystyna Feldman, w roli Wawrzonka o niewyparzonym języku.

Kiedy kurtyna opadła, z budki suflera widownia dowiedziała się, że komedia Hemara była oparta na sztuce Józefa Bielawskiego z roku 1765, zamówionej przez króla Stanisława Augusta, wielkiego Księcia Litwy, Kijowa i tak dalej.

Włada Majewska i Marian Hemar w studio Radia Wolna Europa,

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Takim sentymentalnym akcentem poczęstował audytorium rosyjski dyrektor Eugeniusz Korin. To za jego sprawą Hemar przemówił we Wrocławiu wspaniałą teatralną robotą i tekstem oracji wygłoszonej przed laty na premierze londyńskiej, a wydrukowanym ze smakiem w programie wraz z fotografią Napisałem o tym wydarzeniu do Londynu do byłej redaktorki „Wiadomości" Stefanii Kossowskiej, kierującej „Środą Literacką", comiesięcznym dodatkiem kulturalnym „Dziennika Polskiego". Szkic przyjęła z entuzjazmem informując w liście:

> Archiwum Hemara pieczołowicie zbierała Włada Majewska, bo on sam tego nie pilnował, a jego amerykańsko-duńska żona dawała materiały każdemu, kto chciał albo wyrzucała jeśli Włady nie było w pobliżu. Archiwum jest ogromne: rękopisy, fotografie, nagrania itd. Wszystkie prawa autorskie należą do Włady. Niemal,wszystko, co ukazuje się na emigracji i w Polsce (poza piractwem) jest przez nią opracowane i z nią uzgodnione. Nie wiem, co zrobi z tym archiwum.

W kanadyjskiej Mississaudze dzięki Polsko-Kanadyjskiemu

Towarzystwu Muzycznemu i Salonowi Muzyki i Poezji zobaczyliśmy spektakl teatralno-muzyczny „Hemarowe miłości”, teksty i piosenki. Włodarzom PRL dawał się ten literat kiedyś we znaki satyrycznymi komentarzami. Słynny stał się wierszyk komentujący zdjęcie inscenizacji Dejmka:

> Potem mówił p. Gomułka
>
> Do zaufanego kółka:
>
> Ten Mickiewicz…wieszcz narodu…
>
> Dużo zrobił nam zawodu
>
> Że on umarł ja nie wiedział
>
> Gdyby żył to jużby siedział
>
> Nie ma wyjścia nie ma rady
>
> Skonfiskować całe „Dziady”

Powrót na polskie estrady i to pod egidą polskiego konsulatu, Mariana Hemara, ten Odys wrócony Itace, uznałby za wielki kaprys losu, niewiarygodny, ale sprawiedliwy i zasłużony.

Wróciły jego zabawne skecze i popularne piosenki. Przypomnienie w setną rocznicę urodzin Hemara było pięknym gestem autorki scenariusza i reżyserki programu Marii Nowotarskiej. Bywalcom i nowym wielbicielom talentu Hemara sprawiła wielką przyjemność.

Nie sposób było zaprezentować całą bogatą spuściznę tak płodnego artysty w jeden wieczór. Poznaliśmy więc Hemara jako znanego tekściarza, autora pamiętnych słów do światowych przebojów. Ufamy, że w przyszłości poznamy także jego inne wybitne osiągnięcia.

Na temat Salonu Poezji, Muzyki i teatru z Toronto oraz pięknym wieczorze poświęconym Marianowi Hemarowi można przeczytać w książce Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”.

Do kupienia m.in. w księgarni internetowej Gandalf:

http://www.gandalf.com.pl/os/sokolowska-gwizdka-joanna/